Nr. 26. (nadzwyczajny — dodatkowy) Lwów, —— 1893 r. Wydawnictwa Rok XVI.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo illustrowane.

Od wydawnictwa.

*Aby ukończyć „Śmierć“ i dać czytelnikom naszym urozmaicenie i powiększenie treści, dajemy ten numer dodatkowy niezależnie od numeru głównego, który będzie całkowicie poświęcony pamięci zgasłego **Jana Matejki**. Redakcja potrzebuje ze względów rysunkowych więcej czasu, a śmierć wielkiego artysty zaskoczyła raptem, jak piorun z jasnego nieba . Niniejszy numer dodatkowy, rozsełamy razem z „**Wesołym Kurjerkiem**“ Nr. 9., przyczem prosimy szanownych prenumeratorów o rychłe odsełanie prenumeraty, bo wszelkie zaległe należytości, są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe.*

Otwarcie nowego teatru w Krakowie.

Otwarcie nowego teatru w Krakowie nastąpiło, przedewszystkiem, bez .. poświecenia, a ponieważ nie otwierała go dyrekcja, lecz magistrat, więc odpowiedzialnośé za to, spada na pana prezydenta. Dyrekcja zaś nowego teatru, gdy rozpoczęła próby w nim, udała się wraz z całym personalem do kościoła, na inauguracyjne nabożeństwo.

Urzędowe i uroczyste otwarcie nastąpiło w południe, dnia 21. października, a pierwsze przedstawienie wieczorem tegoż dnia.

Przy otwarciu przemawiali: książą Sanguszko, marszałek krajowy, pan prezydent, pan Zawiejski budowniczy i do pana Zawiejskiego, specjalnie p. Muranyi majster stolarski, w imieniu robotników wręczając mu jakąś pamiątkę. Pan marszałek wypowiedział fragment ze swego osobistego pamiętnika o Krakowie, przyczem dowiedzieliśmy się, że teatr ma tylko misję cywilizacyjną „i w tem polega jego niebezpieczeństwo“; pan prezydent opowiedział historję w ogóle teatru i sprawę budowy nowego teatru w Krakowie.

Obecny na otwarciu pan namiestnik Kazimierz hrabia Badeni, wcale głosu nie zabierał.

To się działo w westybulu teatralnym...

W sali teatralnej, ze sceny, otoczony artystami i artystkami, przemawiał pan dyrektor Pawlikowski, zwięźle, ale esencjonalnie, bez napuszonych frazesów. Przemówienie to, dobre wywarło wrażenie.

Wieczorem, uroczyste przedstawienie: prolog Asnyka, jeden akt *Konfederatów*, jeden akt *Zemsty za mur graniczny* i odpowiednie produkcje muzykalne.

W przedstawieniu tem zwrócił na siebie szczególną uwagę, artysta Stanisław Knake-Zawadzki w roli wojewody, swą postawą, swym przepięknym głosem — swą grą. Nie dziwimy się — my tu we Lwowie dawno uwagę zwracaliśmy, jak tylko przybył z Poznania, na tego artystę. Ale u nas marnował się jego talent — dobrze, gdy w Krakowie będzie inaczej. Drugim artystą, który wysunął się na pierwszy plan, był pan Sliwicki, w roli Pułaskiego. Pan Marceli Zboiński niektóre sceny cześnika w *Zemście* grał świetnie, niektóre blado. Prolog prześlicznie oddeklamował pan Kotarbiński.

Na tem pierwszem przedstawieniu sala zapełniła się po największej części publicznością, która n i g d y w teatrze nie bywa. Stało to się dzięki kilku panom rajcom, którzy bilety porozbierali i komu chcieli, porozdawali. Sam p. Faustyn Jakubowski zabrał sto biletów na swój osobisty użytek — inni mniej więcej to samo... Tymczasem, zaproszeń do redakcyj nie posłano wcale — nigdzie. Do Warszawy posłano tylko c z t e r y osobiste zaproszenia. Do Lwowa, oprócz magistratu, wydziału krajowego i namiestnictwa, nikt zaproszenia nie otrzymał — a prawda, otrzymał *Henryk Schmitt*, znany historyk, zmarły przed laty, ojciec obecnego dyrektora lwowskiego teatru p. Mieczysława Schmitta — przysłano aż... jedno krzesło... Deputacyj od artystów, nie było żadnych, bo artystów magistrat krakowski wcale nie zaprosił...

Na raucie, który się po przedstawieniu odbył w salach hotelu saskiego, także kosztem magistratu — *artystów nie zaproszono* — podejmował ich w swojem własnem mieszkaniu — pan dyrektor Pawlikowski.

W ogóle, panowie rajcy krakowscy, czy tam magistrat w pierwszem przedstawieniu spisali się, jak Grabski w tańcu...

Na raucie, w saskim hotelu chciano skakać, ale pan prezydent nie pozwolił. Bardzo słusznie — szkoda tylko, że pan prezydent nie okazał tyle energji przy urządzeniu pierwszego uroczystego przedstawienia w teatrze i nie ograniczył samowoli jednostek, które się rządziły, jak szare gęsi i, po prostu, swojem brutalnem i nietaktownem postępowaniem, wywołały z powodu pierwszego, inauguracyjnego przedstawienia słuszny żal i rozgoryczenie w tych sferach, w których żadne łyki, nawet z tytułami doktorów i w lakierowanych butach, nigdy nie imponowały i imponować nie będą...

Od ręki.

= Redaktor nasz od czcigodnego jubilata Kornela Ujejskiego, otrzymał telegram następujący:

„Przepraszam za zwłokę w odpowiedzi. Piszę z łóżka z pogorszonem zdrowiem. Wam, szanowny Redaktorze i wszystkim współpracownikom składam serdeczne podziękowanie za wyrażone uczucia dla mnie w liście i w załączonym numerze pisma Waszego.

Z wyrazem szacunku i poważania
K. Ujejski“.

= Wspomnienie pośmiertne.

Zmarły w tych dniach w naszem mieście ś. p. Aleksander Messyng urodził się w Warszawie w roku 1850. Zaciągnąwszy się bardzo wcześnie do szeregów dziennikarstwa warszawskiego, przetrwał na tem stanowisku do ostatniej chwili, pracując w rozmaitych pismach tutejszych. Od młodości obdarzony wielką łatwością wierszowania, ś. p. Messyng pisywał sporo wierszy lirycznych, które zdawały się zapowiadać w nim rzeczywisty talent poetycki, zmuszony, jednak, pracować usilnie na kawałek chleba, zbyt wcześnie wciągnięty w ten młyn dziennikarski, który rozdrabia siły pracowników, ś. p. Aleksander poprzestał na pracy dorywczej, pisanej z dnia na dzień, na potrzeby codziennego pisma. Zdolność jego rymotwórcza ujawniała się odtąd w wierszykach ulotnych, umieszczanych w warszawskich pismach i wydawnictwach humorystycznych. Niezależnie od tego zmarły pisywał nowele i obrazki z życia warszawskiego, które znał dokładnie, a nawet próbował sił swoich w zakresie sztuki scenicznej, dając teatrzykom ogródkowym kilka mniej, lub więcej udatnych fars i krotochwil. W ostatnich czasach ś. p. Aleksander Messyng należał do redakcji „Kurjera Codziennego“.

= Niezwykła dobroczynność.

Z wielką przyjemnością przychodzi nam zanotować fakt z dziedziny dobroczynności publicznej, tem godniejszy uznania, że do tego czasu nikt jeszcze w ten sposób w praktyce nie wykonywał go. Tysiące dzieci, sierot bez dachu i rodziców — jednem słowem, opuszczonych, ginie na tym świecie prawie bez śladu. Wiele z tych sierót oddaje gmina, pojedyńcze osoby, lub inne zakłady, na wychowanie do osób prywatnych umieszczając zwykle po wsiach opuszczone sieroty.

Pierwszy u nas Dr. Holzer, znany filantrop, zajął się czynnie tą opuszczoną dziatwą, Swoim kosztem przybrawszy do boku lekarza, robi on wycieczki w okolice Lwowa wywiadując się na miejscu o tem, jak te dzieci są chowane, jak żywione i czy mają one wygody i opiekę, jakie dzieci mieć powinny. Wiadomości, jakie dr. Holzer w tym kierunku zbiera, stanowią znakomity materjał statystyczny, a swoją drogą, taka praca dra Holzera wystawia mu świadectwo na prawdziwego dobroczyńcę uciskanych, lub przez los prześladowanych. Dr. Wilhelm Holzer na cele dobroczynne w ogóle, poświęca fundusze płynące z uczciwej jego pracy — godnem, jednak, jest

zastanowienia, że jest on niewyczerpany i niestrudzony w wynajdywaniu dróg i sposobów niesienia bliźnim pomocy, a nie hołdując frazesom, praktycznymi czynami, zaznacza swoją dobroczynną działalność. Do pięknych rysów charakteru dra Holzera przybywa nowy: opiekun opuszczonych dzieci — tytuł, zaprawdę, stanowiący jeden z najpiękniejszych rysów duszy ludzkiej...

Śmierć.

(Dokończenie. Patrz nr. 25).

Pomimo wysiłków Amelki, smutek ołowiem ciężył nad łożem chorego. Jedynym jasnym promykiem na tem tle ponurem była młoda para — Stach i Zosia, — którzy się kochali. Stosunek ten dwojga dzieciaków, prześlicznie jest przez autora wpleciony w tragiczne losy chorego. Oni z tego uczucia nie zdają sobie sprawy. Znają się, jednak, od lat pięciu. Stach był wtedy w siódmej klasie, gdy poznali się w domu ciotki, gdzie go Józio wprowadził. Zosia była wówczas jeszcze podlotkiem i nikomu nie śniło się uważać jej za nic więcej, jak za dziecko. Dopiero Stach, częścią przez brak obycia się z tego rodzaju istotkami — częścią przez wrodzoną mu powagę zaczął ją traktować, jak dorosłą pannę. Naturalnie, nie mogło być mowy wtedy o jakichś głębszych uczuciach. Lubili się tylko bardzo — Stach ją, jako siostrę kolegi — ona jego, jako przyjaciela brata. Z biegiem czasu stosunki między obu kolegami ścieśniały się coraz bardziej — a więc i z tej sympatji musiało się cos wykluć, zwłaszcza, że domatorskie usposobienie Stacha, jego niechęć do wszelkich nowych znajomości, nie dawały mu sposobności zawiązywania innych stosunków. Zosię znał pierwszą i ostatnią. Ona, biedactwo, jeszcze więcej była odciętą od świata. Zmuszona mieszkać u obcych — sama, własną pracą zarabiała na chleb — dając lekcje muzyki, do której miała szczególną zdolność, mimo swego wesołego usposobienia. Nie miała ona, zresztą, zarozumiałości, właściwej artystom— nie znała więc, co to jest niezadowolenie z życia. Przyjmowała wszystkie koleje losu, złe, czy dobre, tak spokojnie, tak chętnie, jakby je uważała za spełnianie własnych marzeń. W 18. roku życia, dziecko z niej było takie, że nie zadawała sobie trudu nad dociekaniami w kwestjach życia. Do samodzielności zdolną nie była. Ta bierność i uległość dla wszystkiego i wszystkich wymagały, aby miała obok siebie zawsze serce kochające, — serce, o któreby się wesprzeć mogła, z któregoby czerpała siły, do zniesienia przeciwności życia. Stach więc był dla niej, jakby stworzony. Zresztą, on jeden bywał u niej — z Józiem, widywali się kilka razy na tydzień, a w niedzielę każdą, bezwarunkowo, kiedy do niej szli, aby posłuchać muzyki — to i nic dziwnego, że się pokochać musieli. Sami o tem nie wiedzieli jeszcze, nie zdawali sobie z tego sprawy — nie zastanawiali się, zresztą, nad tem — bezwiednie, jednak, lgnęli do siebie — i tęsknili za sobą. Nie była to też, rzecz prosta, żadna miłość gwałtowna, namiętna, z wybuchami. Płynęła ona u nich tak spokojnie, tak miarowo, że się jej nawet nie domyślali oboje. Stach, wyjaśniał jej swoje teorje społeczne, starając się ją nawrócić na swoją wiarę. Ona słuchała go z namaszczeniem wielkiem, naturalnie, nie wiele rozumiejąc, co można było snadnie wnioskować z jej naiwnych odpowiedzi. — Uważała go za tak mądrego, że wstydziła się swego nieuctwa — i w tajemnicy starała się uzupełniać swoje braki. Być może zresztą, że nudziły ją te poważne rozmowy — ale nie przyznawała się do tego, bo chciała mu się tem przypodobać.

Dla umierającego Józia było to ogromną pociechą, gdy widział, że oni się pobiorą.

Długo na ich szczęście patrzeć nie mógł — on z dniem każdym, z chwilą każdą, gasł powoli. Stan jego był tak rozpaczliwy, że postanowiono sprowadzić księdza. Wzbraniał się chory z początku, jak wąż wywijał — w końcu zgodził się, jednak. Poproszono więc staruszka, słynnego katechetę — protektora studentów. Pod wpływem słów kapłana — powróciła wiara. Wyspowiadał się, przyjął oleje święte...

Z tą chwilą lżej mu było na sercu — słabnął, jednak, coraz więcej. Kartki pamiętnika są coraz rzadsze — słowa bezładniejsze. Przebija z nich jeszcze pragnienie życia: żegna się z niem rozpaczliwie, przywiązując wagę do najmniejszych przedmiotów. Żegna gorączkowo nawet fiołki, które mu przyniesiono do pokoju.

W przystępie majaczenia wyrywają mu się z ust wyrazy, które łzy wyciskają u obecnych — bo świadczą o silnej żądzy życia, które przedwcześnie wygasa...

To go rozdrażnia co raz więcej. Co chwila zdaje się, że kona... Zapalają gromnicę — modlą się i płaczą, a tu w chorym siła młodości jeszcze raz zwyciężyła na to tylko, aby go tem silniej rzucić chwilę potem w objęcia męczącego konania.

To wszystko wybornie uwydatniano w książce. Pamiętnik kończy się, wreszcie, lakonicznie:

Józio dnia 17. Kwietnia umarł...

KONIEC.

Pomiędzy włóczęgami.

I.

Pewnemu amerynikanowi, podróżującemu po Niemczech, przyszła fantazja przepędzenia piętnastu dni pomiędzy włóczęgami. Wrażenie swe ogłosił później w czasopiśmie angielskiem: »Century Magazine«.

Urzeczywistnienie ekscentrycznego zamiaru połączone bylo z rozmaitemi trudnościami. Chcąc zaciągnąć się do bandy włóczęgów, trzeba posiadać zdrowie żelazne, umiejętność przepędzania nocy pod gołem niebem, żołądek niezwykłej strawności, skórę zahartowaną na wszelkie ukąszenia i nos, znoszący dzielnie najprzykrzejsze wonie.

Na pozór cała ta wyprawa nie miała nic pociągającego, ale w zamian była pouczającą. Cyfry statystyczne, układane przez urzędników ministerjalnych, dają się tłomaczyć rozmaicie i nie wyjaśniają nam bolesnych zagadek, wymykających się z pod najściślejszych i najbardziej skomplikowanych rachunków.

P. Józef Flint (tak się zwie ów ekscentryczny amerykanin), zanim urzeczywistnił swój zamiar, odbył konferencję z dr. Bertholdem, którego prace są głośne w Niemczech. Sławny ekonomista rachuje, iż liczba indywiduów, aresztowanych co rok za włóczęgostwo w obrębie państwa niemieckiego wynosi 200.000, z tego 100.000 przypada na włóczęgów bez zajęcia, 80.000 na robotników, szukających napróżno zajęcia i 20.000 na żebraków.

Klasyfikacja ta jest zanadto ogólna, by mogła być dokładną. Nauka zmienia się w romans, ile razy zapragnie wprowadzić ścisłość matematyczną tam, gdzie chcąc ją zyskać, trzebaby przeprowadzić setki tysięcy badań.

Jeżeli cyfry statystyki urzędowej nie budzą zaufania, tem mniej wartości mają zeznania samych interesowanych.

Żaden z włóczęgów nie miał ochoty zrozumieć, iż chodzi o dostarczenie autentycznych materjałów do artykułu w »Century Magazine« i nie był łakomy na zaszczyt zostania pośrednim współpracownikiem jednego z najbardziej interesujących przeglądów amerykańskich.

W przekonaniu, iż nie można wydobyć prawdy od indywiduów, które z racji swej profesji, dopatrują wszędzie agentów policyjnych, p. Flint powziął heroiczne postanowienie i... został sam włóczęgą,

Przebranie autora artykułu »Century Magazine« przyniosłoby zaszczyt aktorowi w melodramacie. Jego kostium umiejętnie podziurawiony i nieogolona broda byłyby same starczyły do obudzenia litości przechodniów. Mimo to nie mógł odważyć się żebrać na ulicach Berlina, gdzie mieszkał przez lat dwa i z łatwością mógł być poznany. Wolał co prędzej udać się na dworzec kolejowy i kupił sobie bilet klasy czwartej do Magdeburga. Za towarzyszów podróży miał wędrownego muzykanta i dawnego robotnika nazwiskiem Karola, który od dawna porzucił pracę i wolał żyć z ofiarności publicznej.

Rozmowa zawiązała się wkrótce i włóczęga z profesji zainteresował się niezmiernie przygodami swego kolegi z Ameryki. Po pewnym czasie ofiarował mu swe usługi i dostarczył cennych wskazówek, jak przy małych wydatkach można odnosić korzyści w podróży, bez zwrócenia na siebie oka policji.

W Niemczech zdarza się rzadko, by włóczęga musiał spać pod odkrytem niebem. Znaleść przytułek bywa tam, w ogóle, nietrudno. Trudność polega, jedynie, w wyborze. W najmniejszych miastach włóczęga jest pewny, iż znajdzie zakład, w którym filantropia municypalna ofiaruje mu obiad, łóżko i śniadanie dnia następnego.

Jednak tylko w ostateczności decydują się włóczęgi niemieckie pukać do tych instytucyj, wzorowanych na angielskich »workhouses«.

W tych schronieniach, na pozór tak gościnnych i bezpłatnych, istnieje brzydki zwyczaj, iż wymagają od przybysza kilkunastu godzin pracy, a w oczach wszystkich szanujących się włóczęgów, praca jest upokorzeniem. Przytułki, pozostające pod nadzorem stowarzyszeń religijnych, nie wymagają podobnego poświęcenia od ludzi, którzy od dawna odwykli od wszelakiej roboty. Za bardzo skromną opłatą dają tam podróżnemu łóżko dość czyste i zdrowy posiłek. Włóczęga z profesji byłby skłonny korzystać z tych zakładów, założonych celem przyjścia z pomocą nieszczęśliwym robotnikom, szukającym naprawdę roboty, lecz utrzymuje, iż pozostawiają mu w nich zamało wolności osobistej. Włóczęga zawodowy nie lubi przedłużać swego pobytu w domu, gdzie śpiewają hymny od rana do wieczora, gdzie nie można dostać wódki i gdzie żądają papierów legitymacyjnych.

P. Flint, nie wziąwszy paszportu, nie śmiał prosić o schronienie w tego rodzaju przytułku i poprzestał tylko na obiedzie. Za piętnaście centymów ofiarowano mu posiłek, z którego był bardzo zadowolniony. Następnie wyszedł ze swym przyjacielem Karolem, który zaprowadził go do oberży.

W Niemczech niewiele jest miast, w których włóczęgi nie mają swych uprzywilejowanych hoteli. Oberża, jak krótko nazywają tam tego rodzaju hotel, jest punktem zbornym wszystkich włóczęgów, którzy tam czują się, jak u siebie w domu. Właściciel zakładu zwykle był sam włóczęgą i dostarcza swym klientom cennych informacyj. Wskazuje posterunki, na których człowiek znający swe rzemiosło, może w parę godzin mieć niezły zarobek. Tym, którzy wolą eksploatować miłosierdzie osób prywatnych, komunikuje listę domów, w których spieszą z jednaką pomocą nieszczęściu udanemu i nędzy prawdziwej. W jednym domu dają jeść, w drugim odzienie, w trzecim jałmużnę w gotówce i t. d.

Do tych wiadomości o osobach miłosiernych, przybywają jeszcze zazwyczaj informacje o odźwiernych. Niektórzy z tych cerberów nieodznaczają się, bynajmniej, miłym humorem, ale za pomocą kilku centymów dają się ułagodzić. Interesowani na żądanie mogą także dostać specjalny katalog z adresami, celem rozsełania listów z prośbami. Ten sposób żebrania jest bardzo trudny, wymaga odrębnych zdolności i bywa używany tylko przez małą liczbę włóczęgów.

Właściciel oberży nietylko jest żywym Baedekerem dla swych klientów, ale nadto obowiązuje się dostarczać im papierów legitymacyjnych. Fabrykant fałszywych paszportów ma stałe zajęcie przy jego zakładzie. Ten kaligraf, uchodzący za mistrza w sztuce naśladowania najtrudniejszych podpisów i przykładania nieczytelnych pieczęci, bywa zwykle bardzo wymagającym i żąda znacznych honorarjów. Dwadzieścia marek, to suma, którą nie zawsze posiada obywatel nie mający stałego miejsca zamieszkania, ale jeżeli dochody płyną obficie, cena ta włóczędze nigdy nie wydaje się za wielką, za dokument, jednający przychylność żandarmów w całem państwie zjednoczonych Niemiec.

II.

W oberży podróżnik amerykański zdziwiony został przyzwoitem zachowaniem się większości obecnych. Czuł się cokolwiek upokorzony swymi łachmanami, gdyż poprzednio, chcąc odwrócić od siebie podejrzenie, posunął się cokolwiek zadaleko w niszczeniu swego kostiumu. W Niemczech żebracy nie mają zwyczaju budzić miłosierdzia przechodniów okazywaniem swej nędzy, przeciwnie, przyzwoitym wyglądem, starają się usprawiedliwić opinję, iż są robotnikami bez zajęcia, Młodzi ludzie pomiędzy włóczęgami, trafiają się bardzo rzadko, a w ciągu całej wycieczki p. Flint miał sposobność raz tylko spotkać kobietę Była to sześćdziesięcioletnia megera, która bez wysiłku wypijała duszkiem butelkę wódki i ten alkoholiczny tryb życia służył jej wielce. Większość tych ludzi, uchodzących za robotników bez zajęcia, jest w wieku podeszłym i przekroczyli przynajmniej trzydziestkę. Prawie wszyscy odsłużyli trzy lata w wojsku i otrzymali w dzieciństwie wykształcenie szkół początkowych. To też nie podróżują inaczej, jak z książką w jednej kieszeni, a butelkę wódki w drugiej.

Włóczęgi w rozmowie pomiędzy sobą tytułują się »bracie«, mimo to, koleżeństwo nie należy do ich cnót. Podróżnik amerykański chcąc wypróbować szlachetność swych towarzyszów, zwracał się nieraz z prośbą. do tych, którzy mieli znaczne dochody, o pożyczkę paru groszy na kawę. Zawsze spotykała go odmowa i w dodatku uwaga, że jeśli nie umie wyzyskiwać miłosierdzia przechodniów, powinienby zmienić zajęcie.

W Stanach Zjednoczonych, p. Flint robił często podobne doświadczenia w czasie włóczęgi z bandą ludzi bez zajęcia i nigdy daremnie nie odwoływał się do ich wspaniałomyślności. Włóczęga amerykański, jest daleko groźniejszym dla społeczeństwa od kolegi niemieckiego, bardziej od niego lekceważy życie ludzkie i jest niebezpieczny dla kas ogniotrwałych i zegarków Wzamian posiada instynkta niedoszłego miljonera, budzące się przy lada okazji. Wstydzi się odmówić koledze filiżanki kawy, lub kieliszka wódki i wzruszony prośbami biedniejszego od siebie, zawsze gotów jest obdarzyc go srebrną monetą.

W każdym poddanym cesarza Wilhelma drzemie ukryty statysta, który urodził się z piórem za uchem i okularami na nosie. Ta namiętność do bazgranin skomplikowanych, odnajduje zię nawet tam, gdzie jej istnienia najmniejby można podejrzewać, Jeżeli utrzymywanie książek rachunkowych można kiedykolwiek uważać za zbytek niepotrzebny, to z pewnością wówczas, gdy pozwalają sobie na niego ludzie, żyjący z ofiarności publicznej.

Z rachunków tego rodzaju, p Flint utworzył sobie pojęcie o dochodach włóczęgów. Jeden z nich np. zarobił około 80 m. w ciągu miesiąca. Nie ma w tem nic nadzwyczajnego, gdyż pewien żebrak w Magdburgu, gdzie bawił p. Flint, w ciągu tygodnia na ulicy Drezdeńskiej zebrał 40 marek. Wprawdzie, włóczęga ten nieźle mówił po angielsku i eksploatował szczodrobliwość turystów amerykańskich. Wobec tego, nikt nie ma prawa podawać w wątpliwość pożytku z nauki języków obcych.

Podług obliczeń p. Flinta, dochody dzienne przeciętnego włóczęgi wynoszą od 2 do 5 marek, nie licząc pożywienia, które zawsze łatwo otrzymać w naturze. Czasami bywa nawet za wiele zapasów żywności, lecz dzięki licytacjom, które żebracy urządzają pomiędzy sobą w oberżach, równowaga w tym kierunku bywa zawsze przywracana. Za półtrzecia feniga współpracownik »Century Magazine« nabył na tego rodzaju licytacji w Münstrze łokciowej długości kiełbasę i pół bochenka chleba. W Hanowerze asystował ogólnej likwidacji, w której włóczęgi pozbywali się nabytków, przyniesionych z pewnego miasta, znanego z miłosierdzia mieszkańców. Surduty i kamizelki spadały w cenie do 50 fenigów, przeciwnie dolne części ubrania były bardzo poszukiwane, a względnie najwyższe ceny płacono za książki.

Nic tak nie sprzyja rozmyślaniom filozoficznym, jak noc spędzona w pustej szopie. W pewnej wsi, gdzie istniała tylko jedna oberża, właścicielka zakładu, w słusznej obawie o swe zegarki, odmówiła przyjęcia na noc włóczęgów i zaproponowała im, by za opłatą piętnastu fenigów przespali się w sąsiedniej szopie. W północnych Niemczech noce bywają zimne w połowie kwietnia i, gdy sen nie przybywał, towarzysze p. Flinta zaczęli udzielać sobie wzajemnie spostrzeżeń i robić zwierzenia. Jeden przyznawał, że zgubiła go namiętność do wódki, drugi zapewniał, że był leniwym od urodzenia, lecz w ogóle ludzie ci nie wydawali się niezadowoleni ze swego losu.

— Kiedy pracowałem — mówił jeden z nich — zarabiałem zaledwie dwadzieścia marek tygodniowo, dziś zarabiam trzydzieści bez żadnego wysiłku.

Współpracownik »Century Magazine« nadmienił delikatnie swemu koledze, iż wówczas miał zapewne swój dom i niepotrzebował sypiać czasami na świeżem powietrzu.

— Dom! łóżko! — odrzekł z pogardą włóczęga — ale zapominasz, iż, by mieć te zbytki, trzeba było pracować, a za tę cenę wszystko jest za drogie,

Teatr — koncerta — widowiska.

Flirt, 4. aktowa komedja M. Bałuckiego, z wiadomego konkursu „Kurjera Warszawskiego", przedstawioną została na lwowskiej scenie po raz pierwszy w tych dniach. Komedja ta przeszła tryumfalnie przez wszystkie wielkie sceny polskie opierając się tak dalece o popularność szerokiej publiczności, że nawet krytyka literacka musiała się z tem liczyć. *Flirt* ze swojemi zaletami i wadami, nosi na sobie typowe rysy charakterystyczne talentu Bałuckiego — jest on zawsze sobą, autorem samoistnym, a jeśli coś czasu powtarza, to z samego siebie. *Flirt* wszelkie swoje powodzenie zawdzięcza, przedew zystkiem, mistrzowskiej sceniczności, temu, właśnie, co odrazu oddziaływa na publiczność, przykuwa jej uwagę do ruchu i do migających błyskotliwie sytuacyj nie dając czasim do zajrzenia głębiej. Z tego pawodu, nawet sceny melodramatyczne w 3cim akcie z dziećmi, pod względem scenicznym tak są pomyślane fajerwerkowo, że wywołują ogromne, choć nie jednolite wrażenie, bo jednym serce kołacze, drugim się łza kręci, a trzeci śmieją się — ale wszyscy patrzą, jak w tęczę i słuchają, jak „pontpouri". Akt 4ty *Flirta*, jest jego wadą — jest to zupełnie oddzielna krotochwila, którą autor zaledwie jedną nitką zszył z poprzednimi aktami. Zdaje nam się też, że „komedja pomyłek" osobistych, jest zanadto naciągniętą przez autora. Epizodów jest dużo, ale szkoda zmarnowania takiej epizodycznej postaci, jak Dzikiewicz, który w istocie gra jedną scenę. — Dowcip i humor sypie Bałucki we *Flircie* pełną garścią.

Flirt świetnie wystawiony został na scenie lwowskiej tak pod względem dekoracyjnym, jak i reżyserskim. To samo należy powiedzieć o grze artystów. Główną, choć nie opierającą się wcale o dużą rolę, postać Murskiego, pojął p. Żelazowski tak, że dostroił ją do tła przygotowującej się sytuacji i nadał jej piętno życiowej prawdy — talentowi artysty zawdzięcza Murski starcie z niego melodramatyczności rozromansowanego smyka, a podmalowanie męską energją, wywołaną krzywdą lekkomyślnej kobiety. Pani Siennicka ślicznie odegrała „flirtującą" kobietę, którą dzieci sprowadzają na drogę obowiązku — wyglądała też czarująco.

Przepysznym Flirtowskim był p. Fiszer, wybornie odegrał nie wielką, zresztą, rolę starego męża p. Chmieliński, doskonałym Dzikiewiczem, chociaż tylko epizodem, był p. Ruszkowski. Śliczną, powabną, a sympatycznie miękką żoną Flirtowskiego była pani Stachowiczowa; zamaszyście, choć nie bez jaskrawości, odegrała pani German rolę rozromansowanej baby. Męża właśnie, tej podżyłej „flirtki" grali naprzemian pp. Siemaszko i Feldman — Obaj dobrze, choć, każdy inaczej — to świadczy o ich talentach. Dwie małe rolki reprezentujące w komedji „prawdziwą miłość" odegrali świeżo i z talentem :panna Czaplińska i p. Kliszewski. Drugą parą skojarzonego *par force* małżeń-

stwa w komedji byli p. Trapszo i panna Pankiewicz.

Do chwili, gdy to piszemy, *Flirt* przedstawiony był sześć razy przy zapełnionym teatrze.

Hr. Kr.

Jednoaktowy obrazek p. Przybylskiego: *Bzy kwitną*, odegrany w tych dniach na naszej scenie, jest sobie wdzięczną robótką, bezpretensjonalną, choć napisaną ciepło i z głębszem uczuciem. Bzy zakwitły w pokoju i zakwitła miłość w sercach ubogich ludzi — to treść cała... Obrazek ten ślicznie odegrali p. Żelazowski, z paniami Stachowiczową i Cichocką.

Wznowiono dobrze znaną 3-aktową komedję Augier'a: *Zięć pana Poirier*, która, mimo swych lat poważnych, jest lepszą i bardziej interesującą od tuzina dzisiejszych elaboratów francuskich i niefrancuskich pisarzy. W komedji tej, główną rolę pana Poirier grał p. Ruszkowski — niegdyś grał ją świetnie na polskich scenach ś. p. Józef Rychter. Pan Ruszkowski, którego talent charakterystyczny szerokie zakreśla koło, nadał postaci Poirier'a wypukłą plastykę artystyczną i w charakterze swym pochwycił wybitne rysy — całość gry wyszła dobrze, ze wszystkiemi subtelnościami. Margrabinę z plebejuszów, grała z głębokiem uczuciem pani Siennicka. Dobrze grał przyjaciela Poirier'a p. Jaworski (Werner, a p. Woleński rolą, którą dawniej grał (margrabiego), przypomniał nam świetne czasy sceny lwowskiej, kiedy to *Zięć pana Poirier* nie spoczywał jeszcze pod kurzem bibliotecznym.

Winniśmy zanotować na tem miejscu, że w *Lilli Wenedzie* rolę Slaza po p. Siemaszce, grał p. Walewski z niepospolitym talentem tak pod względem charakterystyki, jak i pojęcia tej postaci.

Debiutant p. Wostrowski, w *Krakowiakach i góralach* (Bartosz) posiada istotne zalety aktorskie i dobrze się stało, że został angażowany.

Rzecz głębiej pomyślana, dobrze opracowana na szarem tle życia rodziny niemieckiej i mimo całej prostoty środków i motywów, przygnębiająca — takby można, kilkoma słowami, z grubego, określić dramat 4-aktowy Sudermana: *Gniazdo rodzinne* przedstawiony u nas po raz pierwszy w tych dniach. Ach! to tło niemieckie, takie niby spokojne, takie ciche, tak splecione z małostek i powszedniości, gdzie kurz na meblach odgrywa nie raz ważną rolę i staje się powodem kolizyj!.. Z takiego życia wykrzesać dramat łatwo dlatego, że w niem się bierze pod jeden strychulec wszystko — co po nad nim, to już eksces, to bakcylus, co mąci spokój, jednostajność tego życia i wywołuje domową rewolucję i dramat w „gnieździe rodzinnem“... Tak też jest i w sztuce Sudermana. Jest również w tym dramacie pewna, specyficzna, odrębna cecha pojęcia o honorze: junkiersko-pruska... Dzieci — owoc nieprawej miłości, wolno jest kopnąć nogą bo przytulone, powalałyby „gniazdo rodzinne“... Umierający pułkownik, ojciec kalającej „gniazdo rodzinne“ córki, umierający wśród pasowania się z tą występną córką, całkowitego współczucia nie posiada, bo w jego nieszczęściu rodzinnem za mało było serca, ciepła i wyrozumiałości wyższego umysłu a za wiele gospodarowała bezwzględność pruskiego podoficera.. I co to za matka w tem *Gnieździe rodzinnem*!... istna kwoka, poturodło, szaragi do wieszania potrzeb rodzinnych!... W tem wszystkiem, co się dzieje, kobieta ta nie bierze najmniejszego udziału — łazi tylko po tem „gnieździe rodzinnem“ i czasem coś zagdacze... Sudermanowi, widocznie, chodziło o kolizję dramatyczną między córką, a ojcem i dodawszy jeszcze, więcej filozofującego, aniżeli działającego w sztuce pastora — i pana radcę, który niby jest źródełkiem zkąd się wysącza dramat, ale jest postacią na wskróś banalną — resztę figur absolutnie nic nie mają do roboty w sztuce i zaledwie niektóre z nich illustrują stosunki „gniazda rodzinnego“.

Najważniejszą postacią w *Gnieździe rodzinnem* jest Magdalena — postać to pełna, skrystalizowana, ma ciało i krew — ma i duszę, choć obwiniętą brudami życia.. Grała ją pani Żelazowska — grała świetnie, z całym zapasem artyzmu i prawdy. Winszujemy artystce z całego serca takiej gry — w niej talent pani Żelazowskiej zajaśniał w całej pełni... Wypukło i ze wszelkiemi subtelnościami wyszła postać pułkownika w pięknej, wyrazistej, silnej i nacechowanej grozą traiczną grze p. Żelazowskiego — harmonja artystyczna drgała w każdym momencie tej gry pełnej i skończonej.

Jeszcze jeden pastor dał możność panu Chmielińskiemu do okazania niezwykłych zalet swojego talentu — reszta zaś ról — to jałowe pole — nic też z nich wyorać nie mogli mimo bardzo starannej orki panie: Gostyńska, Siemaszkowa, German, Otrembowa, Chmielińska i Rybicka, oraz panowie: Hierowski, Jaworski, Dębicki i Kliszewski.

Pan Kowalski, bas, występował dwa razy na scenie lwowskiej: w *Fauście* (Mefisto) i w *Łucji z Lamermooru* (ochmistrz). Młody ten śpiewak posiada bas o brzmieniu czystem, silnem i jasnem — szkoła poprawna, brak tylko jeszcze rutyny scenicznej, aktorskiej, ale to rzecz dłuższego obycia się ze sceną, na której p. Kowalski dopiero rozpoczyna swoją wokalną karjerę przybywszy z Włoch, gdzie się kształcił. — Opera nasza zyskuje dobrą siłę w panu Kowalskim.

W *Łucji* śpiewał Henryka partję barytonową, p. Górski z niepospolitą ekspresją wokalną — śpiewał ją bardzo dobrze — mniej dobrze wypadła partja Walentego w *Fauście*. Małgorzata nie będzie należeć do popisowych partyj pani Malinowskiej — za to Łucja zostanie klejnocikiem w repertuarze tej artystki — ślicznie ją pani M. śpiewała...

Pan Myszuga, jako Edgar w *Łucji* zachwycał swoim tenorem — śpiewał pół partji po polsku, pół po włosku.. Dalej chyba tak nie będzie..

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Zdzisław. „Piękność bez ducha“ drukowaną nie będzie. Za długi to erotyk i za zwykły.

Heho w Antwerpji. Prosimy przysłać rękopism powieści wiadomej. Niema literackiej konwencji pomiędzy Austrją, a Belgją, któraby wzbraniała przekładu.

Le. w Paryżu. Takie to dla nas wstrętne, że nawet spokojnie pisać nie można, a cóż dopiero mówić.

Bucik. Wierszyki nie będą drukowane — słodkie, ale mdłe.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117